

W ostatnim czasie dużo dyskutuje się o zmianach w Romie. O zmianach w kadrze, zmianach planów, zmianach na stanowisku trenera... Kibice mogą się już poczuć zmęczeni tym, że w całym tym zamieszaniu zapomina się o elementach stałych i niezmiennych, na których przecież Roma się opiera. Właśnie dla nich - wywiad z Giorgio Rossim, człowiekiem, który w Romie spędził niemal całe życie. I choć to wywiad sprzed kilku lat, nie stracił chyba nic ze swojej aktualności.

Choć dawno już przekroczył sześćdziesiątkę, Giorgio Rossi - żywa encyklopedia Romy - wcale na tyle nie wygląda. Jest żywym dziedzictwem, które Roma chce i powinna chronić. Daniele De Rossi zadedykował mu bramkę z Fiorentiną jako prezent urodzinowy. Dla piłkarzy jest jak ojciec, a dla tych młodszych jak kochany dziadek. Zna tysiąc sekretów szatni, jest symbolem, który szanują kibice. Przy nim nawet Capello nie podnosił głosu. Pierwszym trenerem, z którym pracował, był Guido Masetti. Po raz pierwszy zasiadł na ławce Romy w sezonie 61-62. Może opowiedzieć historię Romy, a jego opowieść jest pełna pasji i porywająca. Taki jest właśnie Giorgio Rossi. Masażysta Romy. I znaczący fragment jej historii.

Całe życie w barwach Romy. De Rossi dedykował Panu bramkę strzeloną w niedzielnym meczu. Panie Rossi, proszę się przyznać, wzruszył się Pan?

GR: Moje urodziny były w ubiegły wtorek, kiedy graliśmy z Olympiacosem. Daniele powiedział mi: „jeśli strzelę gola, to Ci go zadedykuję”. Prawdę mówiąc, zapomniałem o tym. A tymczasem De Rossi dotrzymał słowa. Sprawił mi wielką radość, ponieważ to był gol inny od wszystkich. Od tego momentu mecz się odmienił i wygraliśmy go.

W czasie świętowania gola kilku piłkarzy poklepało Pana po głowie...

GR: Wie Pan, piłkarze mają taki zwyczaj. Ja mam niewiele włosów, ale nic nie czułem. To były takie pieszczoty dowodzące uczucia.

Jak się zaczęła Pana przygoda z Romą?

GR: Zacząłem pracę z pierwszą drużyną w sezonie 61-62, kiedy dyrektorem

technicznym był Busini. Mecz Roma-Torino zakończony 0-0 to był mój debiut absolutny. W tamtych czasach wszyscy trenowaliśmy na Tre Fontane, zarówno pierwsza drużyna, jak i młodzieżówki. Ja byłem też masażystą De Martino, mieszanej drużyny, która uczestniczyła w rozgrywkach rezerw. Grało się wtedy na Flaminio i to był taki „przedsionek” pierwszej drużyny. Potem, w 1973 roku, stałem się oficjalnym masażystą pierwszej drużyny. To był ostatni rok Helenio Herrery, który na koniec sezonu został zwolniony i zastąpił go Tonino Trebiciani. Mag był niezłym aparatem...

To znaczy?

GR: Miał swoje małe manie. Przed meczami motywował drużynę: „na pewno wygramy”. Potem sprawy toczyły się inaczej. Pamiętam biednego Camillo Anastasio, który był wtedy sekretarzem i który musiał potem biegać, żeby rozwiązać kłopoty spowodowane przez Herrerę.

Rok później, po krótkiej pracy Manlio Scopigno, zjawił się Nils Liedholm.

GR: O tak, z Baronem miałem szczególne relacje. Od razu dogadaliśmy się dobrze, byliśmy bardzo blisko. Był niesamowity w tych swoich podróżach po Włoszech w poszukiwaniu magów i czarodziei. Robił długie zgrupowania w Busto Arsizio i Castano. W tym pierwszym miejscu mieszkał mag Maggi. Liedholm opowiadał, że ocalił mu on życie i był przekonany, że potrafi leczyć piłkarzy na odległość. Miał szczególne przesady, ale wychodziły one na światło dzienne także w zabawnych sytuacjach. Potrafił jednak także być surowy. Czasami, kiedy się złościł, piłkarze trzymali się na dystans. Kilka razy startł się nawet z Falcao. Baron miał zwyczaj ogłaszania składu w szatni. Raz poprosił o zdjęcia 11 piłkarzy i rozłożył je na stole. Obejrzał je mag i powiedział, że mają pozytywną aurę. I właśnie oni zagraли.

Miał też inne manie. Jeśli piłkarz miał jakiś mały nawet wypadek samochodowy, zwykłą stłuczkę w ciągu tygodnia, to nie pozwalał mu zagrać w niedzielę. Raz ja i Fabbri, stary team manager, musieliśmy mu znaleźć butelkę wody święconej. Perinetti pojechał po tę cudowną wodę to pewnej magiczki w Coverciano. Jedna z butelek spadła i się rozbiła. A więc wzięliśmy drugą taką samą i wypełniliśmy ją wodą z kranu. Poszło dobrze i wygraliśmy 4-1 z Fiorentiną. Liedholm czasem kazał też święcić koszulki zawodników, którzy wychodzili na boisko.

Pozostając w temacie przesądów - raz zdarzyło się, że Bacci, piłkarz z lat 70, założył przez pomyłkę bluzę Barona...

GR: O tak i to była jego ruina. Mieli ten sam rozmiar i był to banalny błąd. Bacci znalazł w kieszeniach wiele amuletów. Nie wiem, czy ten błąd kosztował go miejsce... Pamiętam też nie kończące się zgrupowania z Baronem. Wyjeżdżaliśmy w środę do Castano, gdzie mieszkał mag Maggi, żeby grać w niedzielę z Cagliari. Prawdę mówiąc, to nie był nawet wielki hotel. Do tego stopnia, że my, sztab, mieszkaliśmy w dobudówce. Ale ważne było, żeby być blisko domu maga. Jechaliśmy kuszetką, ponieważ Liedholm wolał pociąg od samolotu.

Pozostaje jednak osobą szczególną w historii Romy.

GR: Bez wątplenia. Był charyzmatyczny i miał swój charakterystyczny sposób postępowania, gdzieś pomiędzy powagą i farsą. Jego charyzmie smaczku dodawały epizody, opowiadał fascynujące historie. O tym, jak strzelił bramkę ze środka boiska. O sławnych zmyłkach robionych oczami. Ooo... te zmyłki to pamiętam nawet z czasów, gdy wrócił do Romy po raz ostatni, dziesięć lat temu, kiedy uwolnił Romę od Carlosa Bianchiego z Ezio Sella. Także wtedy, choć był już wiekowy... Raz wziął na bok Fonsecę... Myślę, że Daniele do tej pory to pamięta. Do mnie Liedholm miał wielkie zaufanie. Miałem relacje oparte na szacunku i zaufaniu z wszystkimi trenerami, z którymi pracowałem, od Liedholma do Spallettiego, przez Ottavio Bianchiego, Radce, Boskova...

Radice. Był tu tylko rok, ale pozostawił dobre wspomnienia.

GR: To był zdecydowany typ. Gerolin miał z nim niezły ubaw. Radice, przez ten epizod z Barisonem, stracił palec u ręki. W czasie meczów, przy rzutach wolnych, wrzeszczał do piłkarzy: „Ustawcie się w piątkę w murze” i wykonywał gest otwartą ręką. A Gerolin krzyczał do niego: „Ale jak w pięciu, jak pokazuje Pan czterech...”.

Setki piłkarzy przeszły przez Pana rękę. Z niektórymi miał Pan szczególnie dobre relacje.

GR: Brazylijczykami zawsze zajmowałem się ze szczególną troską i uwagą. Kiedy przyjeżdżali do Włoch, bardzo cierpieli z powodu zimna. Cerezo po raz pierwszy zobaczył śnieg w Reggio Emilia w czasie meczu Pucharu Włoch. Niemał się wzruszył, ale miał zupełnie zmarznięte stopy. Robiłem mu masaże kremem, który strasznie piecze. Nałożyłem mu go dużo na obie stopy. Udało mu się zagrać, ale stopy piekły go jeszcze przez trzy dni. To samo zdarzyło się Zago i Aldairowi. Wtedy zwykle nakładało się trochę oliwy, żeby złagodzić pieczenie.

Jacy byli Pana mistrzowie?

GR: Angelino Cerretti, Roberto Minaccioni, a potem Vittorio Boldorini, który do pierwszej drużyny trafił, gdy Roma przeszła z rąk Anzalone w ręce Viola.

Potem było kilka przelotnych meteorytów - Holender Smit i jego chiński współpracownik, którzy do Romy przybyli z Erikssonem.

GR: Smit miał szczególną technikę - używał rąk, łokci i lodu. Eriksson był blisko scudetto. Gdyby nie ten mecz z Lecce... Niech Pan pomyśli, Fascetti był zawieszony, a na ławce siedział Neri, ojciec Massimo, który potem był odpowiedzialny za przygotowanie atletyczne Romy.

To był bardzo dziwny mecz. Co Pan z niego pamięta?

GR: Że bramkarz Negretti był fenomenalny. Dla Lecce strzelił chłopak z Primavera. Gdybyśmy wygrali ten mecz, scudetto byłoby nasze. Ale Negretti zdziałał cuda. A potem strzelił.

Wśród wielu trenerów, jeden pracował krótko: Carlos Bianchi.

GR: Przez swoje treningi zaburzył ryt funkcjonowania piłkarzy. Trzy treningi dziennie, pobudka o 7, ponieważ chciał, by byli na boisku bardzo wcześnie. Niektórzy piłkarze go nie lubili i mówili mu to wprost. A wszystko to było dzieło Santelli, jego trenera atletycznego. Sergio Santarini, który był jego asystentem, mówił mi, że były to te same metody treningowej, które Lorenzo stosował wiele lat wcześniej.

A Zeman? Jakim typem jest Zeman?

GR: Także z nim miałem świetne relacje. To wyjątkowy trener. Robił wszystko sam. Miał tylko jednego współpracownika, Cangelosiego. Od przygotowania atletycznego do taktyki - wszystko robił sam. Kazał piłkarzom dużo pracować. Na boisku wyciskał ich jak cytrynę. Gdyby schody w Trigorii potrafiły mówić... Raz Totti trenował z nim sam. Nie dał mu odetchnąć.

Capello został na dłużej i wygrał scudetto.

GR: Z nim też dobrze się rozumiałem. To bardzo surowy trener. Niewiele mówił. Scudetto zdobyte z Ledholmem bardziej przeżyliśmy. Dało mi ogromną radość, także dlatego że od wielu lat nie wygrywaliśmy. Ale ekipa, która wygrała z Capello, była wyjątkowa, nie dawała szans na boisku nikomu. Zabawa nie udała się w Napoli, kiedy myśleliśmy, że zdobędziemy scudetto z tygodniowym wyprzedzeniem. Ale tydzień później z Parmą było niewiarygodnie. Te torebki z lodem, które dałem kibicom, którzy wdarli się na boisko... Chcieli zabrać wszystko. Cokolwiek, żeby mieć pamiątkę. Choćby plaster. Rozbierali nas. Trzeba przyznać, że świetnie zachował się sędzia, który dobrze zrozumiał ducha tego meczu.

Kiedy Capello odszedł, Roma zmieniała kolejno czterech trenerów w jednym sezonie. To był smutny rok.

GR: Te wszystkie zmiany poruszyły nas w sztabie. Wpędziły nas niemal w kryzys. Każdy trener ma swój rozkład godzin, swoje przyzwyczajenia. W kilka miesięcy mieliśmy 4 kolejnych trenerów. Za każdym razem trzeba było zorganizować się zupełnie od nowa. Spotkanie się z Voellerem i Contim jako trenerami było dla mnie szczególnym doświadczeniem. W tym roku wszyscy wpadli w cyklon Cassano. Wobec mnie Antonio zawsze zachowywał się z szacunkiem, ale miał swój sposób zachowania. Rozmawiałeś z nim przez godziny, on przyznawał ci rację, a potem odwracał się i robił po swojemu. Roma dała mu wiele. Przyjaźń z Tottim. Montella przyjął go do swojego pokoju na zgrupowaniu. Nic to nie dało. Charakter jest, jaki jest.

O żadnym graczu nie umie Pan mówić źle.

GR: Do niektórych przywiązałem się szczególnie, ale wszystkich mam w sercu. Traktuję ich jak dzieci. Żyjąc z nimi na co dzień, zyskujesz ich zaufanie, dzielisz radości i smutki. Aldair, Bonetti, Desideri. Ze wszystkimi mam świetne relacje. Także z Cervone, choć on ma szczególny charakter, ale to prawdziwy mężczyzna. W meczu z Interem złapał Bertiego za szyję. To był dzień, kiedy Inter lamentował, żeby nie wpływać na wynik. Jak to się mówi - lepiej dwóch rannych niż jeden martwy. Ale Berti chciał być spryciarzem. Cervone złapał go w tunelu...

A Panu się kiedyś zdarzyło protestować przeciw decyzjom sędziego?

GR: Nie. Także z nimi miałem dobre relacje. Lata temu, kiedy było się gospodarzem meczu, robiło się masaże także sędziom przed meczem. Pamiętam Cesarina, Rosario Bello.

To prawda, że przez wiele lat Totti pozwalał się masować tylko Panu?

GR: Masaży zrobiłem mu wiele. Ja zajmuję się piłkarzami z wielką uwagą. Bandaże, aspiryna, lek na ból głowy... Dziś musisz być bardzo dobrze przygotowany, żeby nie podać piłkarzowi przez przypadek lekarstwa, które okazuje się dopingiem.

Publiczność pamięta Pana przede wszystkim jako człowieka, który uratował życie Manfredoni.

GR: Lionello wspominam z uczuciem. Tego dnia w Bologni nie czułem się dobrze. Na boisku było 7 stopni poniżej zera, ale w szatni było gorąco. Widać było, że nie czułem się dobrze i Bruno Conti zaczął trochę z niego żartować: „Lione, jaki jesteś blady. Widać, że jesteś z Parioli, a nie jak by z Nettuno, chowani na wolnym wybiegu”. Potem dostał zawału. Pierwsze, o czym pomyślałem, to żeby otworzyć mu usta. Na szczęście miałem w torbie nożyczki. Dziś wszystko jest zupełnie inne. Stadiony są o wiele lepiej zorganizowane i przygotowane.

Setki meczów wyjazdowych, hotele, podróże...

GR: Pamiętam zimno w Tampere, w Pradze, w Moskwie. Najpiękniejsze wyjazdy były do Ameryki. Jechaliśmy na tournée, to były wyprawy. Raz w USA Francesco Rocca musiał grać, bo tak było w jego kontrakcie. Ale miał pęcherze na stopach i robiliśmy wszystko, żeby mógł wyjść na boisko. Jego kontuzja była poważnym ciosem dla włoskiej piłki. Kiedy czułem się dobrze, potrafił pokonać Latę, który był przecież super szybki. Kiedy grał w Primavera, jego przeciwnik na koniec pierwszej połowy słał się na nogach. Pewnego razu Cordova powiedział mu: „Ej, France, wyhamuj trochę, bo jak nie, to dobiegniesz w głąb boiska i nikogo tam jeszcze nie będzie”.

Spalletti to Pana ostatni trener.

GR: Pierwszym był Guido Masetti. Doświadczenie, które przeżywam ze Spallettim, jest poruszające. To trener, który żyje z piłkarzami na boisku. Trenuje z nimi, biega z nimi. Jest bardzo przywiązany do swoich graczy i na boisku dba o wszystko, od A do Z. Poznałem wielu trenerów, którzy robili lepsze treningi. Dziś nowoczesna piłka

nożna wymaga wielkiej szybkości.

Jacy byli Pana ulubieńcy?

GR: Jak mógłbym nie powiedzieć Totti? A potem Di Bartolomei. Bardzo mi brakowało Agostino. Pracowałem z nim w Allievi, w Primaveraze. Żył w symbiozie z tym pistoletem. Raz Barone zabrał nas na mecz na Flaminio. Kibice Lazio rozpoznali nas i Agostino ich przegonił. Spał z tym pistoletem w szufladzie przy łóżku. Wieczorem na zgrupowaniu przynosiłem mu filiżankę czekolady. Bardzo to lubił. Czasem wygłupiał się z tym pistoletem. Mówiłem mu: „Agosti, zostaw tę spluwę, bo inaczej nie będę do ciebie przychodził”. Mam zwyczaj co wieczór odwiedzać po kolei pokoje piłkarzy, choćby po to, żeby życzyć im dobrej nocy, albo dać im jakieś słodycze. Amedeo Carboni, którego spotkałem potem w Valencii, powiedział mi: „dziękuję raz jeszcze za te wszystkie kit katy, które mi dałeś”. I zawsze mam przy sobie gumy do żucia. Wszyscy piłkarze mnie o nie proszą przed wejściem do autobusu, zanim pojedziemy na stadion. Może to sposób na rozładowanie napięcia. Mazzone dawał im do picia dużo wody przed meczami, ale teraz doktor Brozzi każe im dawać napój z wody, cukru i cytryny. Mazzone, jak tylko się zjawił, zażartował: „jak zauważysz jakieś dziwne ruchy u piłkarzy, to powiedz im, że wiem wszystko...” Także trenerzy byli czasem graczami...

A więc byli jeszcze jacyś ulubieńcy?

GR: Wszyscy Niemcy w Rzymie byli świetni. Voeller, Haessler, Berthold. I jeszcze Comi, Piacentini, Giannini. Także Argentyńczycy – wszyscy wspaniali. Kto źle mówi o Batistucie, nie zna go dobrze. A Guigou? Świetny chłopak. Raz Capello z ławki wrzeszczał: „Właśnie mi musiał się trafić Urugwajczyk, który nie prowadzi?”.

Co robi Giorgio Rossi, jak będzie duży?

GR: Chcę pobyć na emeryturze. Prawdę mówiąc już jestem emerytem, ale współpracuję z Romą z miłości, choć czasem opuszczę jakiś wyjazd. Ale przed zakończeniem kariery chciałbym wygrać jeszcze jedno scudetto. Jeśli zaliczymy znów taką serię, jak w ubiegłym roku, to mamy na nie szansę.

Artykuł pochodzi z wydania „Il Corriere dello Sport” z 9.11.2006

Autor: kaisa